

sić się o stwierdzenie, że w świecie *Bożego Ciała* sakramenty, a więc wyrazy miłości Boga, w pewnym momencie kolidują z miłością, ponieważ ich sprawowanie pozwala zastępnąć wszystkim w niezdrowym status quo. A przecież to przede wszystkim one – jeśli mielibyśmy odwołać się do nauczania Kościoła – stanowią o prawdziwym Bożym Ciele. Przez nie działa Bóg i one budują żywą wspólnotę wiary skuteczniej aniżeli wszelakie, nawet najbardziej efektowne i dobrze przyswajalne chwytły z arsenału popularnej psychologii.

Ksiądz Tomasz imponujący nam wszystkim manifestem, iż oto – pomimo otworzonego przed oczyma mszału – „nie przyszedł klepać formułek”; tak jakby liturgia stanowiła przeszkodę dla autentycznej wiary, a wszystko, co „z serca”, należało przemycać obok przykrego obowiązku wytyczonego przez tradycję. Ksiądz proboszcz, który boryka się z osobistymi demonami, przyznając, że się już nie raz wyśpiewał, lecz „spowiedź niczego nie załatwia” (najwyraźniej zapominając, że przy konfesjonale dokonuje się przede wszystkim pojednanie człowieka z Bogiem, pierwszorzędne wobec spraw przemijających). Daniel nieudzielający spowiadającej się kobiecie rozgrzeszenia, aby zastąpić je mową motywacyjną, zaś w innej scenie odciągający ludzi od klepanego na ulicy różańca, aby w zamian proponować wykrzyczenie dławionych przez lata emocji. To wszystko konsekwentnie buduje obraz Kościoła, w którym to, co najświętsze (czyli sakramenty właśnie), pozostaje gestem bez znaczenia, bez siły, bez życia.

Można by ten zasadniczy element filmowego świata zinterpretować przez pryzmat jak najbardziej ewangelicznego konfliktu pomiędzy stęchłym adorowaniem formy a wewnętrznym pędem wiary. Lecz Daniel w żadnym momencie nie dąży do tego, aby napęlnić rytuał właściwą mu żywotną treścią. On raczej zastępuje to, co kościelne, tym, co psychologiczne.

Przyglądając się scenariuszowi *Bożego Ciała* od tej strony, można by zapytać, czy działania Daniela, przynosząc najwidoczniej doraźny skutek, rzeczywiście na trwałe przemieniły wspólnotę, którą spotkał. Wiadomo skądinąd, że samo wykrzykiwanie emocji nie jest wystarczającym lekarstwem na życie. Wspomnianą „nieistotność” sakramentów dopełnia wreszcie „święty podstęp” Daniela, który bierze na siebie rolę księdza nie dlatego, że został do niej przez Boga ustanowiony, lecz dlatego, że takim się czuje. I to jakże nietrwałe uczucie – zamykając prosty morał *Bożego Ciała* w krótkich słowach – miałoby decydować zarówno o prawdzie jego tożsamości, jak i kierunku naszej metanoi. ▀

Michał Gołębiowski

Człowiek naprawdę wolny zawsze wybierze Boga

Swobodny jeździec, reż. Dennis Hopper
(*Easy Rider*, USA 1969).

W ostatnim akcie filmu *Easy Rider* z 1969 roku, w jednej z tych scen

w dziejach kina, które bodaj najpełniej wyraziły głos młodego pokolenia i zdefiniowały dążenia kontrkultury, zwłaszcza zaś ruchu zbierającego wiatr i kwiaty we włosy, padają ważne słowa na temat wolności. Jest to wolność rozumiana jako wartość niemal równa samemu życiu, w jakimś sensie określająca wręcz to życie jako spełnione, będąc przy tym postawą prześladowaną, ponoć za to, że jest prawdziwa. Tłumaczy to Hanson, kiedy mówi nocą przy ognisku do podwożących go „swobodnych jeźdźców”:

Nie boją się was, tylko tego, co sobą przedstawicie (...). Każdy chce być wolny, zgoda. Ale mówić o wolności i być wolnym – to dwie zupełnie różne rzeczy. Trudno być wolnym, kiedy jest się towarem na rynku. Tylko nie mów im, że nie są wolni, bo gotowi cię zabić lub okaleczyć, aby udowodnić, że nie masz racji. O tak, mogą gadać bez końca na temat wolności jednostki, ale kiedy widzą wolną jednostkę, to się jej boją.

W słowach tych, jak się wkrótce okazuje, ukryta była pewna prawda, lecz była ona raczej prawdą pragnienia bądź też – mówiąc inaczej – prawdą najgłębszych dążeń serca, ale nie duchową rzeczywistością dwóch motocyklistów. Kiedy bowiem podróż przez autostrady i pustynie dobiega końca, pył drogi opada, a radosna folkowa muzyka cichnie, wówczas rozmowa pomiędzy jeźdźcami nabiera zupełnie innego

tonu niż dotychczas. „Udało się. Udało się. Jesteśmy bogaci. Jesteśmy bogaci, odpoczniemy sobie teraz na Florydzie” – mówi Billy, a wówczas Wyatt odpowiada: „Wiesz co, Billy, nie udało się”. Nad wędrówką zapada ciemność nocy. Zresztą jedna z końcowych sekwencji *Easy Rider* to narkotyczny odlot na cmentarzu, nakręcony w awangardowym, psychodelicznym stylu manifest wolności pokolenia dzieci kwiatów, tych, którzy w swoich duchowych poszukiwaniach uwikłali się w romans z syntetycznym misterium. Kamera wiruje i płąsa po zakamarkach przykościelnej przestrzeni, bluźniercze wyznania mieszają się z recytowanymi modlitwami, nagość sąsiaduje z bielą świętych figur, a z odmętów nieskładnej poezji wyłania się prawda o skrywanym cierpieniu oraz niepojednaniu z Bogiem i z samym sobą (z duszą w sobie samym). To tak, jakby cała „swobodna jazda” ku wolności była jedynie ucieczką. Tym sposobem cała wspomniana sekwencja filmu to, dość nieoczekiwanie, jedna z dwóch szczerze religijnych scen w całym obrazie Denisa Hoppera. Jej zasadniczą treścią nie było bowiem – jak można by sądzić – zobrazowanie doświadczenia narkotycznego, lecz raczej wskazanie na błędne ścieżki wolności, za którymi kryło się niezaspokojone pragnienie Boga.

Mówił Jezus, że lisy mają nory i ptaki powietrzne mają gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć (Łk 9, 58). Trudne to słowa, o tym, że życie jest drogą i mostem, a w świecie nie ma stałych punktów oparcia, trzeba pójść dalej. I wreszcie najtrud-

niejsza wolność, bo wolność od samego siebie. Ale wspaniale tę naukę tłumaczy św. Hieronim ze Strydonu, kiedy przyznaje, że zwierzęta mogą zaznać pokoju w tym, co przyziemne, schować się i zasnąć, ale nora i gniazdo to wciąż dość ciasne legowiska. Człowiek nigdzie nie znajduje „swojego” miejsca, ale dzięki temu gdziekolwiek się położy, zawsze znajdzie się pod osłoną szerokiego nieba.

Chrześcijanin oglądający *Easy Rider*, a już tym bardziej posiłkujący się w zrozumieniu tego filmu piosenkami The Byrds, które wyjaśniają filozofię życia „swobodnych jeźdźców”, z łatwością przypomni sobie słowa Pisma: *Ku wolności wyswobodził nas Chrystus, a zatem trwajcie w niej* (Ga 5, 1), bo tam, *gdzie jest Duch Pański – tam wolność* (2 Kor 3, 17). Wolność dzieci Bożych polega jednak na poznaniu Ojca, który rozpościera błękit nieba już nie na niedościgłym horyzoncie, ale wewnątrz ducha człowieka. Można by sądzić, że dzieje kontrkultury to opowieść o poszukiwaniu tego najczystsze go wyzwolenia duszy przez usynowienie wobec Boga, ale – na przekór purytańskiej moralności i związanej z nią religijności surowego rygoryzmu – podążając drogami indywidualnego życia duchowego. Jedną z pierwszych scen w całym filmie, a przy tym swoisty negatyw tego, co na końcu podróży wydarzyło się na cmentarzu, to postój Billy’ego i Wyatta na farmie pewnej wielodzietnej katolickiej rodziny. Pożywanie się z pracy własnych rąk, przyjmowanie nowego życia i skromne znoszenie tego, co przynosi los, modlitwa nad po-

siłkiem, ufność w dobrym Ojcu i słońce prześwitujące przez gałęzie drzew. Wyatt powiedział wówczas: „Nie każdy umie się utrzymać z pracy na roli, być na swoim i robić swoje; może być pan z siebie dumny”, a w słowach tych wybrzmiewała tęsknota, a nawet przekonanie, że tak wygląda prawdziwa „swoboda”. Ukryte przesłanie filmu *Easy Rider* wskazuje zatem na to, że rozedrgana, psychodeliczna wolność kontrkultury to nierozpoznane wołanie głębi ludzkiej o to, aby osiągnąć niebo. Dusza zagubiona w tym dążeniu – jak przyznaje przed sobą jeden z riderów – „skrewi”. Ale człowiek naprawdę wolny zawsze wybierze Boga. ■

Michał Gołębiowski

Kiedy kultura traci Boga. Kiedy kultura woła Boga

Widzę, widzę/Dobranoc, mamusiu,
reż. Severin Fial i Veronika Franz
(*Ich seh, Ich seh*, Austria 2014).

Zjawia, reż. Alejandro González Iñárritu
(*The Revenant*, USA 2015).

Zaryzykujmy stwierdzenie: każda kultura ma własne demony. I nawet tego rodzaju uogólnienia nader często zaskakują adekwatnością. Bezbożna sztuka polska cierpi na fatalizm bez cienia nadziei, chcąc dzięki niemu spłacić należny dług brutalnej rzeczywistości; bezbożna sztuka francuska cierpi na perwersję (kto zetknął się z pojęciem „francuskiej ekstremy”, ten